

Historia się domknęła

Nawet jeśli świetnie zna się historię stalinizmu, to dopiero bezpośrednie zetknięcie z dowodami zbrodni tego okresu pozwala uświadomić sobie, czym ten system był – mówi **Katarzyna Kuźniarska, antropolog, uczestniczka prac poszukiwawczych na powązkowskiej „Łączce”, w rozmowie z **Karoliną Wichowską****

Na czym polega rola antropologa podczas poszukiwań szczątków?

Do kart medycznych wpisujemy stan uzębienia, wiek, płeć, urazy – czyli wszystko, co może pomóc w identyfikacji. Pobieramy też próbki DNA. Wszystko to robiłam podczas pierwszych tego typu prac na cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu. Na powązkowskiej „Łączce” rzecz wygląda inaczej. We Wrocławiu mieliśmy do czynienia z pojedynczymi grobami – każda osoba była pochowana w osobnej drewnianej skrzyni. W Warszawie w jednej jamie chowano po kilka osób – dwie, najczęściej trzy, a nierzadko nawet po osiem czy dziewięć,

w dodatku bez trumien. Dlatego musiałam od początku być na miejscu, żeby już w momencie eksploracji, czyli odnajdowania szczątków, jak najdokładniej oddzielić od siebie te osoby; żeby każde szczątki zachowały integralność.

To się zawsze udaje?

Niestety nie. Jest to szczególnie trudne w przypadku drobnych kości, np. nadgarstków czy paliczków dłoni. Jeżeli np. w sześcioposobowej jamie trzy osoby leżały w jedną stronę, a trzy w drugą, to ich dłonie zazwyczaj spotykały się w połowie. Drobne kości przeważnie się rozsypują. Jeśli dłonie były ułożone na klatce piersiowej, która z czasem staje się pustą przestrzenią, zsypywały się na jeden stos. Naszym – antropologów – zadaniem jest dostarczenie kości medykom sądowym. Jeśli ponad wszelką wątpliwość ustalimy, że określone kości należą do jednej osoby – oczywiście wciąż nie wiemy, do kogo z imienia i nazwiska – wkładamy je do jednej skrzyni-trumny i opisujemy, np. szczątki numer 1, jama 4. Kości, których nie jesteśmy w stanie przyporządkować do konkretnej osoby, zanosimy medykom w dodatkowym pojemniku lub woreczku strunowym i opisujemy tylko numerem jamy.



Jeśli jednak widzi Pani szansę na przyporządkowanie kości do konkretnej osoby, ale nie ma pewności – jak wówczas Pani to weryfikuje?

Bardzo często proszę o konsultację kolegów, np. medyków sądowych. Cały czas pracujemy zespołowo. Nikt z nas nie jest wyrocznią zdolną do odpowiedzi na każde pytanie – one bywają naprawdę trudne. Konsultacje są potrzebne zwłaszcza przy skomplikowanych jamach. Pamiętam np. taką, w której ogółem zakopanych było sześć osób, w ten sposób, że najpierw pogrzebano trzy osoby, potem je zasypano, a następnie, w formie wąskiego szybu, jeszcze raz rozkopano i dorzucono kolejne trzy osoby. Były one w układzie nieanatomicznym, zwinięte, skulone. Odslanianie zwłok, które zostały pochowane prawie pionowo, to niezwykle trudne zadanie. Trzeba stopniowo zdejmować kolejne warstwy ziemi. Konsultacje w takich sytuacjach są bardzo wskazane.

Co jeszcze utrudnia właściwe przyporządkowanie szczątków?

Zły stan ich zachowania, który z kolei zależy od warunków glebowych. Kości pięćdziesięcioletnie mogą być zachowane dużo gorzej niż tysiącletnie, jeśli były zakopane w glebie bardziej wilgotnej i mniej spójnej. Na stan zachowania wpływa też obecność gliny, piasku i różnych rodzajów roślin. Może się zdarzyć, że dosłownie kilka metrów od kości bardzo dobrze zachowanych znajdziemy kości w fatalnym stanie. Lepiej też zachowują się zwłoki pochowane w okresie zimowym, bo wtedy przed egzekucją ludzie byli ubrani w tkaniny o grubszym splocie. Identyfikację na pewno utrudnia fakt, że groby są masowe. Zwłoki często były splątane ze sobą. Wypracowaliśmy więc metodę polegającą na stopniowym odslanianiu zwłok. Najpierw dokumentujemy samą górę tej mogiły (opisujemy ułożenie szczątków, robimy rysunek i zdjęcie), następnie podejmujemy pierwsze szczątki i dopiero potem dokumentujemy kolejne warstwy. Masowe groby nie zawsze też umożliwiają pracę przy szerokopłaszczyznowym wykopie. Oznacza to, że czasami musieliśmy schodzić po drabinie do wąskich szybów. Bez pomocy z zewnątrz nie było jak stamtąd wyjść.

Aż strach wchodzić w takie miejsce.

Szczerze mówiąc, byłam tak skupiona na zadaniu, które miałam do wykonania, że nawet niespecjalnie myślałam o niebezpieczeństwie czy dyskomforcie. Chociaż faktycznie, to, że tam na dole jest mało tlenu, daje się we znaki.

Tym bardziej że na powierzchni skwar, bo prace były w lecie.

Drugi etap był w maju ubiegłego roku, pierwszy w lipcu 2012 i wtedy, za pierwszym razem, rzeczywiście było bardzo upalnie. Do tego musiałam mieć strój ochronny i maskę i długo byłam pochylona nad szczątkami. W takich warunkach konieczne było w dodatku maksymalne skupienie.



Fot. Daniel Moroz

Katarzyna Kuźniarska (ur. 1983) – antropolog i archeolog, doktorantka w Zakładzie Antropologii Wrocławskiego Uniwersytetu Przyrodniczego. Uczestniczy w pracach zespołu pod kierownictwem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka, zajmującego się poszukiwaniem i identyfikacją genetyczną szczątków ofiar komunizmu.

I to przez kilkanaście godzin dziennie.

Czasami tak. Od siódmej rano tak długo, jak trzeba. Nie mogliśmy przecież zostawić kości na słońcu, bo wysoka temperatura niszczy materiał DNA. W skrajnych przypadkach, w których jama wymagała więcej niż jednego dnia pracy, przykrywaliśmy szczątki folią i dodatkowo zabezpieczaliśmy płytą.

Trzeci etap prac będzie jeszcze trudniejszy, bo będzie wymagał przedostania się pod istniejące już nagrobki. To dużo bardziej niebezpieczne niż praca w głębokim i wąskim szybie.

Dotychczas zdarzały się już sytuacje podobne do tych, które będą nas czekać w trzecim etapie. Profil glebowy na Powązkach jest specyficzny: pod spodem, tam gdzie są wykopane jamy, jest piasek. Został on zasypany ciężką, spoiłą ziemią – trochę gruzu, trochę gliny. Taki materiał nasiąka deszczem i przygniata piasek. Jest więc duże prawdopodobieństwo, że wykop może się zarwać. Dlatego te wykopy są szalowane, co oznacza, że pracujemy pod metalowymi rurami. Z dwóch stron ustawia się płyty. Żeby dostać się do szczątków, trzeba się przeczołgać pod rurami. To trochę niewygodne, ale nie ma innego sposobu. Każdy z nas miał więc już do czynienia z ryzykiem, bo właściwie każdy widział, że gdzieś na „Łączce” się zarwał wykop, ale jak dotąd nic nikomu się nie stało, bo szalunki są pod szczególną kontrolą i ochroną przed wejściem osób postronnych. Zdarzało się natomiast, że za szalunkiem znajdowaliśmy kolejną jamę grobową, do której już nie mogliśmy dotrzeć. Jeśli więc chcieliśmy podjąć bodaj jedną drobną kość, żeby chociaż pobrać materiał DNA, musieliśmy sięgać ręką, tak daleko, jak tylko się dało, albo wręcz włożyć tam głowę.

Wcześniej miała Pani w swoim życiu zawodowym podobnie wyczerpujące fizycznie doświadczenia?

Nie, na cmentarzu Osobowickim było zdecydowanie łatwiej, tam wykopy były szerokie i praca w nich była dość wygodna. Na Powązkach, nawet jeśli wykop jest szerszy, to wciąż jest niebezpieczeństwo, że może się zasypać. Mało tego, nikt tak naprawdę nie zna historii tego miejsca. Nie mamy żadnej mapy, na której np. byłby układ rury, która nagle nie wiadomo skąd tam się wzięła, chociaż wcale jej tam nie powinno być. Nie wiemy, gdzie się kończą, a gdzie zaczynają pochówki osób, których szukamy. Nie wiemy, dlaczego w jednym miejscu nie ma ich wcale, a w innym są w bardzo dużym zagęszczeniu. Nigdy nie możemy się spodziewać, na co natrafimy. Czasami wydaje się, że będą cztery osoby obok siebie, tak jak w poprzednich kilku rządach, a tu się okazuje, że jest jedna. Odtwarzamy więc też historię „Łączki”, zarówno w głąb, jak i w płaszczyźnie.



➤ Zespół archeologów pracujących w Kwaterze „Ł”, Warszawa 2013 rok

Od początku Państwa ekipa wiedziała, że prace na Powązkach będą szczególnie trudne. Ale czy przyszedł taki moment, w którym rzeczywistość przerosła oczekiwania? Na przykład z powodu fizycznego zmęczenia.

Trudności fizyczne oczywiście są uciążliwe. Na początku człowiek ma dużo energii, wie, że uczestniczy w czymś ważnym, i to dodaje skrzydeł. Jest też oczywiście trudność polegająca na tym, żeby maksymalnie się skupić. Bo jeśli konkretnie na mnie, w tej jamie grobowej, spoczywa taka odpowiedzialność, żeby wykonać pracę najdokładniej, jak się da, to nie myślę o niczym innym. Nie zauważam nawet, że ktoś obok stoi, choćby to był pan minister, który przyszedł nas odwiedzić i zobaczyć, jak nam idzie. Kiedy ktoś zawołał, żebym się odwróciła, byłam w szoku, że w ogóle ktoś obok jest. Takie skupienie, praca na najwyższych obrotach, też przez dłuższy okres, są męczące. Czasami zresztą nawet nie było chwili, żeby cokolwiek zjeść, bo chcieliśmy jak najszybciej uporać się z pracą i jej nie przerywać. Choć prof. Szwagrzyk zawsze dbał o to, żebyśmy zdążyli coś przekąsić, wręcz przeganiał nas ze stanowisk i zobowiązywał się ich popilnować. Bywało jednak, że i jego apele nie skutkowały, bo byliśmy zaabsorbowani pracą i nawet nie myśleliśmy o tym, żeby zjeść, wypić czy nawet skorzystać z toalety. Efekt bywał w związku z tym taki, że po całym dniu pracy musieliśmy się na pół godziny położyć i dopiero potem wziąć prysznic, chociaż zdawałoby się, że kąpiel to w takiej sytuacji czynność pierwszej potrzeby. Jednak to, co najbardziej mnie zaskoczyło, to emocje, jakie mi towarzyszą. W tych masowych grobach pochowani są ludzie, których śmierć nie była spokojna, pochówek nie był należyty. Wiele informacji antropolog jest w stanie odczytać z kości, ale przecież są i takie zdarzenia – choroby, tortury, głód – które śladów na kościach nie zostawiły. Wcale nie jest łatwo zostawić w domu takie uczucia, jak empatia, współczucie, poczucie grozy, która towarzyszyła tym ludziom, gdy ich torturowano i skazywano na śmierć.

Co można wyczytać z kości?

Niektóre obrażenia. Na przykład to, że ktoś przez dłuższy czas próbował chodzić na złamanej kości udowej. Albo to, że ktoś żył z kulą, która utkwiała w kości, z potworną przetoką ropną. Albo ze złamaną żuchwą czy otwartym ropniem w przewodzie słuchowym. Mimo tak ciężkich stanów ci ludzie nie umarli z wycieńczenia, tylko zginęli od kuli, o czym świadczy otwór z tyłu czaszki. Ta świadomość ich strasznych przeżyć jest przytłaczająca, bardzo oddziałuje na wyobraźnię. Do masowości, chociaż ona wciąż robi na nas wrażenie, mimo wszystko zdążyliśmy przywyknąć. Dużo trudniejsze jest oddzielenie emocji, wynikających z zetknięcia z ogromnym cierpieniem, od technicznego wykonania zadania. Wrażenie robi też sam fakt, że wszystkie te szczątki zastajemy *in situ*, czyli w takiej pozycji, w jakiej zostały zakopane kilkadziesiąt lat temu, i w tym samym

miejscu. Medycy sądowi dostają szczątki już oczyszczone, w pojemniku, nie oglądają ich zakopanych w ziemi. Wreszcie znaczenie ma też samo oglądanie, dzień w dzień przez miesiąc, tak dużej skali zagłady swojego gatunku. To musi zostać gdzieś w człowieku. Można na co dzień normalnie pracować i funkcjonować, ale ślad zawsze zostaje. Jakiś czas po pracach na „Łączce” wyjechałam na zupełnie inne wykopaliska, dotyczące średniowiecza. Szczątki, które znajdowaliśmy, należały do ludzi, którzy spokojnie sobie żyli i spokojnie pomarli. Wieczorem, po pracy, wspólnie oglądaliśmy telewizję. Akurat był wyświetlany *Katyn* Andrzeja Wajdy. Obejrzałam film prawie w całości. Ale podczas jednej z ostatnich scen, kiedy oficerowie są rozstrzeliwani w piwnicy, po prostu musiałam wyjść z pokoju. Zrobiło mi się niedobrze. Od czasu pracy na „Łączce” nie mogę patrzeć na takie sceny. Nigdy nie przypuszczałam, że rodzaj pracy, którą wykonuję, może odcisnąć na mnie aż takie piętno. Zawsze uważałam, że świetnie się do niej nadaję psychicznie. Bo na miejscu, podczas poszukiwań, pracuję maksymalnie profesjonalnie.

Spodziewała się Pani kiedykolwiek, że przyjdzie jej brać udział w wyjaśnianiu historii najnowszej, wciąż żywej?

Nie. Propozycja dołączenia do zespołu prof. Szwagrzyka była dla mnie ogromnym zaskoczeniem. I było to zaskoczenie pozytywne, cieszę się, że mogę zdobyć tak cenne doświadczenie zawodowe. Dzięki pracom na Osobowicach doświadczenie zdobywaliśmy stopniowo. Tam np. nauczyliśmy się już po spojrzeniu na jedną kość, np. przedramienia, oceniać, w jakiej pozycji zostały położone zwłoki – twarzą do ziemi czy do góry. Muszę też przyznać, że chociaż wcześniej wiedziałam, jak wyglądała powojenna historia Polski, to dopiero bezpośrednie zetknięcie się z dowodami



Fot. P. Życieński

► Katarzyna Kuźniarska prezentuje medalik z wizerunkiem Matki Boskiej Kodeńskiej, znaleziony przy zwłokach; takie znalezisko może pomóc przy identyfikacji

daje pełny obraz tej grozy. Były dwa momenty, które mnie szczególnie poruszyły.

Pierwsza sytuacja miała miejsce jeszcze na Osobowicach. W jednej z jam grobowych znalazłam szkielet – nieduży, kobiecy. Wyglądało na to, że buty, które były na nogach, należały do starszej pani, pasowały do wiekowej ciotki czy babci. Wcześniej zawsze więzień polityczny kojarzył mi się z kimś silnym i roslym. Jego buty powinny być raczej ciężkie, masywne. A tu – krucha starsza kobieta w starożytnych trzewikach. Co ona mogła zrobić swoim oprawcom? Powiedzieć coś, co im się spodobało? To od razu przywołało mi na myśl dzieci, które niekiedy brano do więzienia wraz ze skazanymi rodzicami. Znalazłam kiedyś taką gromadkę pochowaną wraz ze zwłokami mężczyzny. One nie umarły tego samego dnia. Czekają, aż kolejno zostaną dorzucone do tej jamy grobowej. Dorzucone! To okropne. Mówi się: „metoda stalinowska”. Polega ona na zamykaniu w więzieniu wraz z całą rodziną. Ale co to oznacza w praktyce? Życie tych rodzin często było złamane, nawet przez kilka pokoleń...

Drugi tak wstrząsający dla mnie moment był już na Powązkach. Pracowałam kiedyś przez dłuższy czas w jednej jamie grobowej, ośmio- czy dziewięcioosobowej, i zaczęłam już odsłaniać szczątki. W pewnym momencie zauważyłam, że wokół czaszki są kawałki węgla. Od razu skojarzyłam to z książką Małgorzaty Szejnert *Śród żywych duchów*, w której autorka pisała o tym, że według relacji świadków zwłoki skazanych z Rakowieckiej były wywożone drewnianym wózkiem, takim, jakim wozi się węgiel. Połączyłam fakt znany mi z literatury przedmiotu z tym, co właśnie znalazłam. Wrażenie było piorunujące. Historia się domknęła. A ten kawałek węgla – czy jego pyłki, które znajdowaliśmy potem w innych jamach – najdobitniej pokazuje, jak stalinowscy oprawcy odczłowieczali swoje ofiary.

Fot. P. Życieński



► Ślad po pocisku, którym zamordowano jedną z ofiar pochowanych na „Łączce”

Emocje na pewno wzrastają, kiedy na miejscu prac pojawiają się rodziny osób, których szczątki Pani podejmuje.

Początkowo miałam podejście obronne: nie chcę znać żadnych faktów, nazwisk – poza tymi najgłośniejszymi, i tak powszechnie znanymi z historii – żadnych szczegółów ani dat. Nie chciałam pytać, czy przyszła do nas córka tej osoby albo brat tamtej. Po prostu chciałam ograniczyć emocje, żeby móc profesjonalnie wypełnić swoje zadanie. Ale tak się nie dało. Rodziny przychodziły, a my byliśmy łącznikiem między nimi a tymi, których oni tyle lat nie mogli znaleźć, nie wiedzieli, gdzie są pochowani, wielokrotnie tracili nadzieję, że uda im się odszukać bliskich. Między nami tworzyła się jakaś niesamowita więź. Wielu przychodziło więcej niż tylko raz.

Szczególnie zapamiętałam państwa Borychowskich, rodzeństwo, i pana Witolda Mieszkowskiego, który już od wielu lat poszukuje ojca. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie pani Maria Romer, dziewięćdziesięcioletnia dama, która przyszła do nas w upalny dzień. Przypuszczam, że dla niej to wyjście musiało być równie męczące, jak dla mnie czy dla Pani byłaby wyprawa do Australii. Przyszła, żebyśmy mogli pobrać od niej DNA, żeby z materiału genetycznego jej syna wykluczyć część żeńską i poszukiwać tylko jego związku z ojcem. Była szczęśliwa, że pobranie próbki od niej też może pomóc w identyfikacji, bo myślała, że DNA żony nie przyda się w badaniach. Bardzo miło też wspominałam rodzeństwo Pileckich. Dla mnie poznanie wszystkich tych osób było wielką przyjemnością. Ale dla nich nasze prace to część rodzinnej tragedii. Nie wszyscy chcą publicznie pokazywać swoje emocje z tym związane, nie wszyscy chcą wracać do tych historii, bo jakoś przez lata się z nimi uporali, pozamy-

kali je. Wielu jednak chce się dowiedzieć prawdy za wszelką cenę, mają wielką odwagę.

1 sierpnia, kiedy bardzo wielu warszawiaków przychodzi na Powązki, było coś w rodzaju dnia otwartego. Mieliśmy za zadanie pomóc poruszać się po polu cmentarnym, jeśli ktoś chciał je w tym dniu odwiedzić. Z powodu naszych prac nie było dostępu do kilku symbolicznych grobów i mieliśmy postawić na nich znicze, w razie gdyby ktoś specjalnie po to przyjechał. I rzeczywiście, przyszedł pewien pan ze zniczem, a po nim starsza pani. Zapytałam ją, czy chce zapalić świeczkę pod pomnikiem ofiar, czy na jakimś konkretnym grobie. Ta pani się wtedy popłakała i dopiero potem dotarło do mnie, jak niestosownie mogło zabrzmieć moje pytanie: jak mogłam zapytać o konkretny grób, skoro może go jeszcze nie być? Chodziło mi oczywiście o któryś z tych symbolicznych grobów, ale przecież ci ludzie już tyle czasu szukają swoich bliskich, że samo pojęcie „konkretny grób” może u nich wywołać łzy.

Niektóre gesty rodzin były niesamowicie wspierające. Różni państwo przynosili nam bułeczki albo owoce. To dla nas bardzo ważne, bo niejednokrotnie byliśmy już bardzo zmęczeni i tak zwyczajnie po ludzku mieliśmy dość. W takiej sytuacji każdy gest wsparcia był nam potrzebny. Jesteśmy również wdzięczni wolontariuszom. Na miejscu dbali o to, żeby niczego nam nie brakowało przy pracy, a po godzinach opiekowali się nami – przecież duża część zespołu to osoby spoza Warszawy. Zaprzyjaźniliśmy się z tymi osobami – łączy nas wspólna sprawa, wiele razem przeżyliśmy. Oni nie dbali o to, żeby ustawić się w świetle kamer, tylko cały czas myśleli, jak pomóc w naszej pracy. Czasami taki – zdawałoby się – drobiazg, jak przyniesienie pojemnika na szczątki, jest ogromną pomocą. 🍌

➤ Żmudna, ciężka praca archeologów to dopiero początek badań – wydobyte szczątki trafią do laboratorium